

Doktor od sów

O WSPÓŁCZESNEJ ORNITOLOGII, POSZUKIWANIU WŁASNYCH ŚCIEŻEK, ETYCE OBSERWACJI PRZYRODY, DŁUGU EKOLOGICZNYM I FASCYNACJI ŚWIATEM SÓW Z **DR. ROMUALDEM MIKUSKIEM**, SPECJALISTĄ DS. OCHRONY PRZYRODY W ZAKRESIE BADAŃ NAUKOWYCH I OBSZARÓW NATURA 2000 W PARKU NARODOWYM GÓR STOŁOWYCH, ROZMAWIA **MONIKA KLIMOWICZ**.

Na całym świecie wzrasta zainteresowanie ptasią tematyką. Również w Polsce coraz więcej ludzi obserwuje ptaki, podejmuje działania ochroniarskie i interwencyjne, niejednokrotnie bierze udział w badaniach naukowych, zgłębiając tajniki ptasiego życia. Kim jest zatem współczesny ornitolog? Czy koniecznie musi mieć kierunkowe wykształcenie akademickie?

Jak życie pokazuje – nie musi mieć. Można przyjąć współcześnie podział na ornitologa amatora i ornitologa zawodowego. Ornitologia obecna mocno różni się od tej, którą pamiętam. Kiedyś wystarczały lornetka, mapa, notes – i szło się w teren. Dane się potem przepisywało, zestawiało w tabelach, na kartach. Pojęcie „ornitolog” było zastrzeżone dla zawodowców, ale człowiek dowiadywał się o tym dopiero, gdy stykał się z zawodowymi ornitologami, gdy wszedł w krąg wtajemniczenia. Nie wiem jednak, jakie było określenie dla niezawodowców. Chyba po prostu „obserwator ptaków”. Pamiętam, gdy ktoś szedł na studia i w czasie rozmowy wstępnej powiedział, że jest ornitologiem, to najczęściej słyszał: „Po co pan idzie na studia, skoro pan już jest ornitologiem?”. Obecnie ta definicja powinna być mocno rozszerzona, jesteśmy na etapie tworzenia nowego znaczenia słowa „ornitolog”, aczkolwiek myślę, że czasem jest ono nadużywane.

Przy dzisiejszym łatwym dostępie do wiedzy, w tym tej wysoko specjalistycznej, wiele osób, które nie mają formalnego wykształcenia przyrodniczego, staje się świetnymi ornitologami, z dużym doświadczeniem terenowym. Ta granica jest płynna.

To prawda, nie da się takiej ścisłej granicy wyznaczyć. Często się mówi, że zawodowiec to ten, który z tego żyje. Ale to nie do końca tak jest. Są ludzie, którzy żyją z ornitologii, a nie są ściśle wykształceni w tym kierunku. Są też tacy, którzy są na przykład leśnikami, ale mają wiedzę przyrodniczą czy ornitologiczną, którą zdobyli we własnym zakresie. Są też amatorzy, nawet ze średnim, nie przyrodniczym wykształceniem, którzy mają sporą wiedzę i uprawiają ornitologię w ścisłym tego słowa znaczeniu, czyli prowadzą badania naukowe i publikują swoje wyniki. Dla mnie ornitologia zawodowa to przede wszystkim obserwa-



fol. Marek Kołodziejczyk

cje, stawianie pytań, wymyślanie metod, które pozwolą na nie odpowiedzieć, doświadczenia (choć w przypadku ptaków często jest to pomijane), analizy, a w końcu publikacje. Do tego dochodzi w ostatnich latach edukacja. W moim odczuciu wpisuje się to w nasze obowiązki, powiedziałbym: misję. Na szczęście ludzie otwierają oczy na przyrodę coraz szerzej. I chcą, żeby ktoś im o niej opowiedział.

Czy cieszy Cię to zainteresowanie ornitologią, które ostatnimi czasy obserwujemy? Czy to jest dobre dla ptaków, dla przyrody, dla nauki?

Bardzo mnie cieszy. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie barykady. Specjalnie użyłem takiego pojęcia, które kojarzy się z walką, wojną, ale niestety tak teraz wygląda ochrona przyrody. Dzięki tego rodzaju zainteresowaniom ci ludzie rozumieją, co tracimy, jeśli z przyrodą dzieje się coś złego, rozumieją wiele zależności, które mogą wynikać z ludzkiej ingerencji w środowisko. Czasem w ten sposób bronią własnego podwórka, bronią tego, co pamiętają z czasów swojego dzieciństwa. Człowiek ma taką przypadłość – uważa, że wszystko powinno być tak jak w czasach jego dzieciństwa. Taki sentyment do przeszłości. Trzeba mieć świadomość, że nie tylko o to chodzi i nie mniej ważne mogą być miejsca, których nigdy nie widzieliśmy, np. lasy deszczowe czy syberyjska wieczna zmarzlina. Uważam, że każdy, kto fotografuje przyrodę, birdwatcher czy zwykły miłośnik ptaków, każdy jest naszym sprzymierzeńcem w obronie wartości przyrodniczych.

W związku z globalną degradacją środowiska szala naszej aktywności siłą rzeczy przechyliła się też w stronę edukacji. Pewnie nie dla wszystkich, bo też nie każdy nosi w sobie pierwiastek edukatora. Oczywiście największą przyjemność przynosi „chodzenie na ptaki”, ale ornitologia nie polega wyłącznie na tym. Nie jest to też szukanie rzadkości, choć rozumiem, jeśli czyjaś aktywność ogranicza się wyłącznie do tego. Każdy obiera własną drogę, ale czy jest to czysta ornitologia i czy z takiej aktywności wynika coś ważnego – to już inna kwestia. Ważne, że wszyscy patrzymy tym samym okiem na potrzeby ochrony. Tak przynajmniej być powinno. Ornitologia obecnie ma wiele twarzy. Jedno jest wspólne – więcej spędza się czasu za

biurkiem niż w terenie. A czy to źle? Efektem aktywności terenowej powinna być publikacja czy prezentacja wyników. Lubię pisać i czytać, więc osobiście nie mam z tym problemu i nie wyobrażam sobie, abym mógł w życiu robić coś innego.

Etyka przyrodnika – to temat budzący duże emocje. Co chwila pojawiają się doniesienia o nieetycznych zachowaniach obserwatorów lub fotografów ptaków. Co Cię najbardziej niepokoi w tym temacie? Czy birdwatching i fotografia przyrodnicza nie powinny być obostrzone niepisanyymi lub pisanymi przepisami i zasadami?

Takie próby są, jest przecież kodeks Polskiego Związku Fotografów Przyrody. Ale myślę, że w dużej mierze jest to też kwestia wychowania, i widzę tu ogromną rolę dla ornitologów i edukatorów przyrodniczych. Nie powinniśmy się bać zwracać uwagę na nieetyczne zachowania, mimo że częstą reakcją jest atak tej drugiej strony. Spójrzmy jednak na zachód Europy, gdzie jest naprawdę wielu birdwatcherów. Tam jest zupełnie inna kultura obserwacji. Ludzie stoją w szeregu, nie wabią ptaka głosem czy myszą, nie płoszą, a jedynie obserwują go z daleka. Myślę, że do nas taka dyscyplina dotrze. Obserwatorzy, którzy od wielu lat „chodzą na ptaki”, chcąc nie chcąc, posiadli wiedzę o tym, jak prowadzić takie obserwacje, żeby nie szkodzić; oni często też pilnują siebie nawzajem, uczą się i piętnują nieetyczne zachowania. Jednak do grona birwatcherów czy fotografów ciągle dołączają nowe osoby, które nie znają tych reguł. Zobaczmy, ile jest zdjęć ptaków, często zrobionych z bliska, które oznaczane są dopiero po ich wykonaniu. Nie wiedząc, z czym masz do czynienia, nie możesz wiedzieć, gdzie są granice twoich zachowań.

Nie zgodzę się z Tobą, że to zależy od wieku czy doświadczenia. Oboje znamy sytuacje, kiedy doświadczony obserwator czy fotograf przyrody, a nawet edukator przyrodniczy, dopuszcza się działań karygodnych. Pamiętasz sytuację wabienia jarzębatki na Podlasiu na myszy kupione w sklepie zoologicznym? Co chwila też ktoś wrzuca zdjęcia wabionej głosowo sóweczki... Być może bycie starym wyjadaczem jednak pozbawia człowieka pewnej wrażliwości?

Coś w tym jest. Są ludzie wrażliwi, którzy czują te niepisane, ale ważne zasady obserwacji czy fotografowania, im nie trzeba ich przypominać. Ale są i tacy, dla których najważniejsze jest zrobienie zdjęcia czy odhaczenie kolejnego gatunku, i ich trzeba niestety dyscyplinować. Człowiek jest tylko człowiekiem, więc i wśród ornitologów są zapewne tacy, którzy nie postępują etycznie, zwłaszcza gdy nikt im nie patrzy na ręce, nie kontroluje. Ci, którzy wchodzą w ten świat, powinni wiedzieć, że są pewne normy i one obowiązują zawsze i bez wyjątku. Wierzę, że jeśli im to przekazemy, to będą się ich trzymać. Wierzę też w siłę wzajemnego pilnowania się i piętnowania zachowań, które są niegodne przyrodnika, obserwatora czy fotografa. Czasem trzeba taką krytykę wyrazić prosto w oczy, nie wystarczy wylewanie swojego oburzenia na Facebooku czy puszczanie plotek za plecami.

Wspomniałeś o leśnikach i o tym, że bardzo często sami próbują się doksztalcać. Twoim pierwszym krokiem do poznawania przyrody, a szczególnie ptaków, było technikum leśne. Dlaczego dokonałeś takiego wyboru? Czy chciałeś być leśnikiem czy może wierzyłeś, że ta szkoła da Ci solidne podstawy do bycia przyrodnikiem? Czy technikum leśne uczy szacunku do przyrody?

Muszę z przykrością powiedzieć, że w technikum leśnym nie znalazłem tego, czego szukałem. Zdarzały się wyjątki. Pamiętam sytuację, gdy ktoś urwał kilka liści z żywopłotu pod szkołą i spotkał się z ostrą reakcją jednego z nauczycieli. Takie momenty dają nastolatkowi sporo do myślenia. Ale to były jednostkowe zdarzenia.

Miałem wrażenie, że wielu moich kolegów czuło się oszukanych. Wielu chłopców szło tam, bo mieli w sobie dużą wrażliwość na przyrodę, chcieli być bliżej niej, czegoś się o niej dowiedzieć, związać z nią zawód i życie. I nie znajdowali w technikum tego, co chcieli. Ja sobie z tym poradziłem, skupiając się na ptakach. Niemał codziennie chodziłem w teren, także w godzinach nauki własnej, i jakimś cudem nikt mnie za to nie ganił. Pewnie była jakaś cicha umowa wśród wychowawców. Nie wiem, czy sprawę obecnie ułatwiają otwarte drzwi w szkołach czy szeroki dostęp do informacji. Dalej spotykam się z ludźmi, którzy się dziwią temu, co zastają po przekroczeniu progu szkoły leśnej. W mediach czy świadomości naszego społeczeństwa leśnik równa się przyrodnik. Pracuje w lesie, więc musi wiedzieć, co tam oddycha, rośnie, biega, skacze, fruwa. Tyle że na tej samej zasadzie powinniśmy rozmawiać z rolnikiem o derkaczu czy z rybakim o bielikach. Nie ma tu żadnej różnicy. Zorientowany leśnik to wyłącznie taki, który interesuje się przyrodą sam z siebie. Podobnie jak świadomy ksiądz, okulista czy policjant. Ani w szkole, ani potem w pracy leśnika nikt od ciebie tego nie będzie wymagać.

Ja miałem też to szczęście, że rok wyżej uczył się Piotr Pawełczyk, już wtedy związany z wrocławskim ośrodkiem ornitologicznym. Zbierał wówczas dane do Kartoteki Gniazd i Lęgów. Byłem kolejnym ogniwem łańcuszka, gdyż w arkana ornitologii wprowadzał go z kolei Krzysztof Majka, który skończył szkołę, zanim się tam zjawilem. Po latach poznaliśmy się na obozie w Beskidach, gdzie jest leśnikiem, jednym z tych wrażliwych i świadomych potrzeb ochrony przyrody.

Na początku były więc gniazda. Co roku znajdowałem i dostarczałem do Kartoteki ponad sto kart. W 1982 roku uczestniczyłem w moim pierwszym Zjeździe Ornitologów Śląska w Rudzie Milickiej oraz pojechałem na pierwszy obóz obrączkarski nad Wisłę, który prowadził Mirek Rzępała. I wtedy moja przygoda z ornitologią zaczęła się formalnie na dobre.

Kto był Twoim mentorem, Twoim początkiem drogi do świata ptaków?

Dobrze jest mieć osobę, którą uważasz za swój autorytet. Może być on mocny w jakiejś dziedzinie, albo ma jakieś cechy, które uważasz za najlepsze. Miałem to szczęście, że trafiłem na swojej drodze na wrocławski ośrodek ornitologiczny. W latach 80. XX wieku był on wiodący w Polsce.

Ponieważ jego pierwsi twórcy przybyli tu w ramach reparaacji, siłą rzeczy ich zainteresowanie nie ograniczało się jedynie do obszaru ornitologicznego Śląska, stąd się wzięło zainteresowanie Biebrzą i Białowieżą w czasach, gdy były to białe plamy na ornitologicznej mapie Polski. Chyba noszę w sobie ten ich pierwiastek eksploratora.

Profesorowie Andrzej Dyrzc i Tadeusz Stawarczyk są z pewnością na liście osób, które nazwałbym moimi mistrzami. Nie mam tak ścisłych relacji z profesorem Ludwikiem Tomiałojciem, ale z pewnością jest też dla mnie autorytetem. Był nim też kiedyś przedwcześnie zmarły dr Wojciech Grabiński, cudowny, energiczny człowiek, chętnie dzielący się swoim doświadczeniem. Do dziś pozostaje nim z pewnością Mirek Rzępała, kierownik mojego pierwszego obozu ornitologicznego nad Wisłą. Jest tak skromny, że pewnie w to nie uwierzy.

Tadeusza Stawarczyka i Wojtka Grabińskiego zarzucałem na początku mnóstwem pytań, byłem ciekaw różnych rzeczy, a porządných książek w tej tematyce nie było, nie było kluczy do oznaczania. Wychowywaliśmy się na opowiadaniach myśliwskich i albumach Puchalskiego. Świątecznym w tunelu były „Ptaki ziem polskich” Jana Sokołowskiego. Pamiętam, jak kupiłem kultową do dziś książkę Gotzmana i Jabłońskiego „Gniazda naszych ptaków” od kolegi za kartki na papierosy i pieniądze na nie. Jak już wypalił te papierosy, chciał ją ode mnie odkupić, ale powiedziałem: „nie ma, nie ma”. Później pokazała się książka Dobrowolskiego „Ptaki Europy”. Tato miał znajomości w księgarni i wykupiliśmy wszystkie egzemplarze, które sprzedałem potem na zjeździe ornitologicznym. Kolejne wakacje spędzałem wówczas wyłącznie na obozach ornitologicznych.

Gdy skończyłem technikum, profesor Andrzej Dyrzc akurat poszukiwał kogoś do pomocy przy wodniczce nad Biebrzą. To był ważny moment w moim życiu i ważne spotkanie, bo Profesor dużo rzeczy we mnie zaszczerpił. Zobaczyłem, jak się pracuje w terenie, że trzeba wstawać o świcie, nie oszczędzać się, być twardym. Zobaczyłem prawdziwego ornitologa przy pracy. A później zaczęło się kręcić, wyzwania terenowych było całkiem sporo. Liczenia zimowe, liczenia ptaków szponiastych na dużych powierzchniach, które wymyślił Mirek Rzępała, było zbieranie danych do Polskiego Atlasu Ornitologicznego, liczenie ptaków zimujących na Odrze, gęsi na zbiornikach... Staralem się we wszystkich akcjach brać udział i na nich zdobywałem ostrogi. Jako obręczkarz wspierałem wówczas też obozy nad Bugiem organizowane przez ośrodek siedlecki.

Panie doktorze od sów... Dlaczego właśnie sowy stały się Twoją ptasią miłością? Co Cię fascynuje w tych ptakach?

Kiedyś się już mocowałem z tym pytaniem. Pamiętam, szukaliśmy na nie odpowiedzi z Tomkiem Kłosowskim w „Dzikiej Polsce”. Padaly tam takie hasła, jak kochamy sowy za piękne oczy, wyraz twarzy – takie trochę żeńskie aspekty. Sądzę obecnie, że raczej nie w tym rzecz. Zawsze jestem najbardziej ciekaw tego, co jest najmniej poznane. Uważam, że każdy gatunek jest do rozgryzienia,



fol. Monika Klimowicz

tylko potrzeba czasu i cierpliwości, a właśnie cierpliwość jest jedną z cech, które najbardziej u siebie cenię. Potrafię patrzeć, siedzieć i słuchać. W czasie gdy zaczynałem interesować się sowami, było bardzo niewiele prac naukowych na ich temat w Polsce. Przy zbieraniu danych do pracy magisterskiej w Górach Bystrzyckich znalazłem pierwsze puchacze, słyzałem w dzień pierwsze włochatki, a później, gdy zacząłem pracować w Parku Narodowym Gór Stołowych, zaczęła się przygoda z sóweczkami. Bardzo chciałem znaleźć gniazdo sóweczki – kiedyś na Śląsku wykryto takie, ale to było przed wojną. Znalazłem je w 1997 roku – pierwsze w czasach współczesnych. Do tej pory wszystkie lęgi sóweczek w Polsce były odnotowywane w Puszczy Białowieskiej, i to też incydentalnie. Jak już znalazłem tę pierwszą dziuplę, to nie wypuściłem – siedziałem przy niej całymi dniami i obserwowałem. Wtedy zaczęły się rodzić różne pytania dotyczące tego gatunku. Tamtego dnia dokonałem jeszcze jednej ciekawej obserwacji – szczęścia też czasem chodzą parami. Zaobserwowałem puchacza, który upolował młodego lisa. Na bazie tej obserwacji i kilku innych, zebranych od przyrodników, jakiś czas temu powstała praca, w której postawiłem hipotezę mówiącą o tym, że puchacze mogą wybierać terytoria również na podstawie obecności nor, przy których polują na młode lisy, jenoty i borsuki.

Sowy pojawiły się też w związku z moimi nocnymi wyprawami. Zaczęłem się w pewnym momencie fascynować głosami zwierząt, a w nocy słyzałem dużo różnych dziwnych dźwięków, których nie potrafiłem rozpoznać. Pamiętam moje pierwsze wejście do lasu, gdy byłem mały. Miałem takie ulubione miejsce koło Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie się urodziłem. Chodziłem po tamtejszych łąkach, a na ich końcu był las. Nigdy tam nie wchodziłem, bo się bałem. Gdy odważyłem się na ten krok, serce waliło mi jak młot, ale okazało się, że strach ma tylko wielkie oczy. Podobnie było z nocnym chodzeniem po lesie. W nocy las jest zupełnie inny, nie spotykasz ludzi, masz bardzo wyostrzone zmysły. Najczęściej nie używam latarki, bardziej mi przeszkadza niż pomaga.

Czyli pociąga Cię to, co nieznanne? To jest Twój motor do działania?

Zdecydowanie tak! Tak też było na przykład w czasie mojej podróży do Ekwadoru – tam przede wszystkim szukałem nieznaných gatunków, koncentrowałem się na tych,



foto Monika Klimowicz

których biologia nie była poznana. Tak było z drozdkiem szarogrzbietym i elfikiem wstęgosiym.

Dużo podróżujesz, odwiedziłeś dalekie i egzotyczne zakątki świata, takie jak Ekwador, Nowa Zelandia czy – całkiem niedawno – Karelia. Jesteś bardzo wrażliwy na destrukcyjny wpływ człowieka na naturę. Czy zatem Twoje wyprawy, dalekie i bliskie, nie obciążają Twojego ekologicznego sumienia? Czy robisz bilans przyrodniczych zysków i strat?

Oczywiście, że mam ogromny dylemat. Dlatego nie chciałbym, żeby te wyjazdy służyły wyłącznie mojej przyjemności, zobaczeniu ładnych miejsc, zrobieniu ciekawych zdjęć, tylko żeby niosły jakieś naukowe przesłanie. Oczywiście nie zawsze się tak da. Mój ostatni wyjazd do Karelii był stricte naukowy, tak samo wyjazd do Ekwadoru. Czasem to są wyjazdy z misją pomocy w miejscach, gdzie brak wykwalifikowanych ornitologów. Na przykład w Rumunii pomagałem w szukaniu cennych przyrodniczo miejsc z myślą o obszarach Natura 2000. W kolejnym sezonie szukaliśmy tam orlików. Liczyłem też ptaki na przelotach w Turcji i Hiszpanii. Naszym celem w Karelii było namierzenie lęgu samicy błotniaka zbożowego zaopatrzonej w nadajnik, który nie przesyłał danych ze względu na brak zasięgu GSM.

Zawsze staram się, żeby taki wyjazd miał charakter naukowy, poznawczy. Taki też cel stawiam sobie w przyszłym roku podczas wyjazdu do Malezji. Nie mam pragnienia, żeby zobaczyć tam 70 czy 150 gatunków, ale żeby znaleźć jeden ciekawy gatunek, znaleźć gniazdo tego ptaka, posiedzieć przy nim, postawić kamerę i czegoś się o nim dowiedzieć. To wpisuje się w moją misję, poczucie bycia naukowcem, jednak nie takim, który siedzi i obrabia statystykę lub robi doświadczenia. Najbliższe mi jest podejście profesora Andrzeja Dyrca – poznawanie nowego: nowych miejsc, zachowań, biologii itp. Nie lubię siedzieć na miejscu. Jakbym miał badać sóweczkę w Górach Stołowych przez całe życie – to byłbym nieszczęśliwy. Sowy jednak są dla mnie najbardziej kuszące i wbrew pozorom najłatwiejsze. Wszystkie są w jakimś stopniu do siebie podobne.

Jakie są Twoje ukochane miejsca w Polsce, do których wracasz? Nie tylko ze względu na ptaki, ale także na emocje, które przeżywasz w związku z tamtejszą przyrodą?

Kiedyś był taki film „Przyrodnicy” i jego autorka, Jolisia Łęska, zadała mi dokładnie takie pytanie. Wtedy jej odpowiedziałem, czego się do dzisiaj trzymam, że zawsze fascynują mnie te miejsca, w których jeszcze nie byłem i które są nowe. I to faktycznie działa. Są takie, które bardzo lubię – jak Biebrza. Gdy pójdziesz na przykład na jakiś grządek, na którym byłaś, powiedzmy, 30 razy, to ten 31. może być kompletnie inny. W Górach Stołowych też mam kilka takich ulubionych miejsc, ale nie ma takiego, które jest moim ciągłym celem lub w którym moje prochy miałyby być rozsypane. Zawsze najfajniejszy jest ten moment, kiedy jestem w nowym miejscu i jest ono przyrodniczo wyjątkowe, a ja skupiam się na wrażeniach – oczy nie wiedzą, gdzie patrzeć, uszy nie wiedzą, w którą stronę się obrócić. Jest jedno miejsce w Polsce, które szczególnie mnie zachwyca – to Małe Pieniny. Nie wiem dlaczego. Może ze względu na mozaikę krajobrazów – piękne rzeki, otwarte łąki, tereny pagórkowate, skały, przepiękne widoki. Niesamowite wrażenie zrobiło na mnie Pogórze Przemyskie. Nie dziwię się tym, którzy mówią – nie jedź w Bieszczady, jedź na Pogórze. Strasznie mnie boli, gdy słyszę, co na Pogórzu się dzieje. Robiliśmy tam badania przez dwa lata. Czasem wchodziłem w wąwóz, który był małą puszcza – nic tam się nie działo od setek lat, widzisz, że nigdy człowiek nie sięgał tam ręką, leży kłoda na kłodzie, zmurszałe pnie, gnijące drzewa. Gdy słyszę, że budują tam nowe drogi i na pewno po te zasoby za chwilę sięgną, to mnie serce boli. Trudno globalnie ochronić taki teren, ale te małe połacie, nietknięte od setek lat przez człowieka, zdziczałe, powinny być chronione jako małe rezerwaty. Jeśli muszą, niech sobie tną lasy wokół, które kiedyś zasadzili, ale te miejsca powinny pozostać jak świątynie.

Turnicki Park Narodowy?

Tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie. To jedyna szansa na ocalenie całego skomplikowanego układu. Bardzo mnie cieszy, że są ludzie, którzy się w tę inicjatywę angażują. Nie boją się patrzeć w oczy oponentom i przedstawiać swoich racji. Zabawne są zarzuty, że za chronienie przyrody jej obrońcy dostają niesamowite pieniądze lub mają w tym jakieś tajne interesy. Wielu nie może pojąć, dlaczego my to robimy. Nie są w stanie zrozumieć, że dla nas przyroda to najwyższe dobro, którego nie da się przelożyć na pieniądze.

Co robisz w wolnym czasie, kiedy nie chodzisz za sobą albo nie badasz orlików na Pogórzu?

Nie wiem, co to nuda! Książka, muzyka, fotografia, a ostatnio filmowanie. Nagrywam też namiętnie ptasie głosy. Wszystko tak naprawdę dzieje się wokół przyrody, która bardzo uwrażliwia. A może odwrotnie? Może im bardziej jesteś wrażliwy, tym bardziej się do niej zbliżasz? Uwielbiam też aktywność fizyczną – trekking, rower, spływy kajakowe. Z poziomu wody dużo więcej widać, a zwierzęta traktują Cię jako element przyrody, jak płynącą kłodę. Propaguję też wspinaczkę drzewną w technice linowej jako metodę kontroli gniazd bez niepotrzebnego kaleczenia drzew.